

RIO GRANDE

REPORTAŻ O GRANICY



FRANCISCO CANTÚ

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Pod koniec zmiany Mortenson wezwał mnie do pokoju przesłuchań i poprosił, żebym tłumaczył dla przywiezionych właśnie dwóch sióstr, dziewięciolatki i dziesięciolatki, które zgarnięto razem z dwiema kobietami na punkcie kontrolnym. Kazał mi zadać podstawowe pytania. Gdzie jest wasza mama? W Kalifornii. Kim są kobiety, które was przywiozły? Znajome. Skąd jesteście? Ze stanu Sinaloa w zachodnim Meksyku. Dziewczynki zasypały mnie nerwowymi pytaniami. Kiedy mogą wrócić do domu? Gdzie się podziały kobiety, które je tu przywiozły? Czy mogą zadzwonić do mamy? Próbowałem im różne rzeczy wyjaśnić, ale były za małe, za bardzo pogubione, zbyt mocno wystraszone widokiem ludzi w mundurach. Jeden z pograniczników przyniósł im torebkę skittlesów, ale nawet wówczas nie zdołały się uśmiechnąć. Nie umiały podziękować. Zwyczajnie stały i z przerażeniem patrzyły na cukierki.

Kiedy już umieszczono dziewczynki w celi, powiedziałem Mortensonowi, że muszę wyjść, skończyłem swoją zmianę. Odparł, że muszą przesłuchać kobiety, które zgarnęli razem z dziewczynkami i poprosił, żebym został i dla nich tłumaczył. Nie pomogę ci, powiedziałem, muszę jechać do domu. Opuszczając posterunek, starałem się nie myśleć o dziewczynkach, ale zaczęły mi drżeć ręce. Chciałem zadzwonić do matki, ale było za późno.

Kilka godzin po zachodzie słońca spotkaliśmy się z Moralem na początku szlaku w samym środku niczego,

reagując na informację z czujnika. Przy blasku gwiazd pięliśmy się powoli kamienistą ścieżką u podnóża góry do miejsca, w którym wąski szlak schodził z niskiej przełęczy. Morales przytrzymał sobie czapkę ręką i poświęcił mdłym światłem latarki na mały spłachetek gruntu. Ten trop ma kilka dni, wyszeptał. Podniósł wzrok na ciemne zarysy gór. Założę się, że ktokolwiek uruchomił czujnik, utknął na szczycie przełęczy.

Postanowiliśmy poczekać, aż grupa zejdzie szlakiem. Ukryliśmy się za powykręcany drzewem jadłoszynu, Morales usiadł po turecku, a ja wyciągnąłem się na ziemi, przekręcając się wte i wewte tak długo, aż się umościłem na jakimś małym kamienistym fragmencie. Morales wygładził piasek dłońmi i zaczął kreślić w nim jakieś zawijasy, a ja zapatrzyłem się w niebo, urzeczony Drogą Mleczną, która wiła się jak chmura roziskrzonego pyłu. Przez godzinę słychać było tylko cykanie świerszcza i ciche dreptanie szczuroskoczka. Co jakiś czas przerywałem milczenie, żeby pokazać Moralesowi spadającą gwiazdę. Pytałem szeptem, czy widział. Tak, gościu, widziałem.

Po kolejnej godzinie milczenia dotknąłem kolana Moralesa. Czego? Ile chcesz tu siedzieć? Kurde, nie wiem. Zamilkliśmy. Założę się, że mają na tym wzgórzu zwiadowców, powiedziałem wreszcie. Musieli widzieć, jak się wspinaliśmy. Morales rzucił patyk na spłachetek ziemi przed sobą. Może czujnikowi się pozajączkowało, powiedział. Moglibyśmy wejść na tę przełęcz. Jeśli się przyczaili, to ich nakryjemy, a jeśli nikogo tam nie ma, to sprawdzimy, czy na czujniku zostały odciski stóp. Pokręciłem głową. Jeśli mieli zwiadowców, to już dawno się zawinęli, a jeśli

nie mieli i wciąż tam są, usłyszą, jak podchodzimy, zanim zdołamy się zbliżyć. Wchodziłem tym szlakiem z Mortensonem, powiedziałem. Ostatnie ćwierć mili jest piekielnie strome, do tego rumosz osuwa ci się spod stóp. A jeśli czujnikowi się pozajączkowało, to już w ogóle marnujemy czas. Ruszyliśmy przez pustynię do samochodów. Zatrzymałem się na chwilę, by ostatni raz spojrzeć w bezkłęzycowe niebo. Morales minął mnie, a gdy jego kroki ucichły w oddali, zauważyłem drobniutki jasny punkcik przemieszczający się powoli po czarnej kopule. Nie poruszając głową, zawołałem Moralesa. Wracaj! krzyknąłem w nieboskłon. Słyszałem, jak złorzeczy, idąc z powrotem do miejsca, w którym się zatrzymałem. Czego chcesz, do cholery? Patrz, powiedziałem i wskazałem na niebo. Nic nie widzę, zaburczał. To satelita, powiedziałem, oddalający się od Gwiazdy Północnej. Kurde, powiedział wreszcie Morales, widzę to. W życiu nie widziałem satelity. Ja też nie, odparłem. Staliśmy spowici ciszą i wpatrywaliśmy się w niebo, otoczeni postaciami kryjącymi się wśród gór, które wpatrywały się w te same gwiazdy i śledziły ledwie dostrzegalne satelity pędzące przez atmosferę, drobne konstrukcje z trudem utrzymujące się na swoich orbitach, najdalej wysunięte ziemskie placówki.

Gdy nadeszła wiadomość przez radio, przygotowałem się przede wszystkim na zapach. To jest najgorsze, powiedział

mi kiedyś jeden ze starszych pograniczników. W pierwszym tygodniu na posterunku któryś z nich podpowiedział mi, żebym wszędzie nosił ze sobą słoiczek maści Vicks VapoRub. Jak trafisz na jakieś zwłoki, to posmaruj sobie pod nosem, inaczej będziesz miał smród w nosie przez kilka dni.

Dotarłem na miejsce wczesnym wieczorem, gdy upał jeszcze nie zelżał. Hart stał przy zwłokach od trzydziestu minut. Jeszcze świeże, powiedział, zgon jakieś dwie godziny temu, nie zdążyły się zaśmierdnąć. Jechałem przez rezerwat, kiedy zatrzymało mnie dwóch nastolatków. Położyli kamienie na drodze. Niezręcznie wskazał ich gestem, a potem wsunął ręce do kieszeni i wreszcie zapytał mnie, czybym z nimi nie pogadał. Ciągłe mnie o coś pytają, a ja nic nie rozumiem.

Jeden z chłopców siedział na kamieniu, wyglądał na zagubionego. Podeszedłem i zapytałem, skąd znał zmarłego. To mój wujek. Powiedział to, nie odrywając wzroku od swoich dłoni. Ile masz lat? Szesnaście. Spojrzałem na jego kolegę stojącego może metr dalej z rękami w kieszeniach. A ty? Podniósł oczy. Dziewiętnaście.

Zarówno zmarły, jak i chłopcy pochodzili ze wsi w stanie Veracruz. Razem wyprawili się na północ. Opowiadał głównie dziewiętnastolatek. Wedle jego słów zmarły na kilka godzin przed śmiercią wziął dwie tabletki z kofeiną, które nielegalni imigranci często zażywają na pobudzenie, po czym popił je bimbrem z trzciny cukrowej, który

wziął ze sobą z Veracruz. Chłopak powiedział, że po kilku godzinach mężczyzna zaczął się zataczać jak pijany, a potem stracił przytomność.

Podszedłem do zwłok. Hart położył na głowie denata koszulkę. Podniosłem ją i spojrzałem na jego twarz. Oczy miał zamknięte, a długie ciemne włosy zaczęły już przybierać trupi wygląd. Między rozchylonymi wargami zebrała się biała piana, twarz pokryły małe czerwone mrówki przemieszczające się równymi rządkami w kierunku wilgoci. Koszulę miał podciągniętą na żebrach, widziałem sine plamy opadowe w miejscach, do których spłynęła krew po zatrzymaniu krążenia. Czubkiem buta delikatnie przesunąłem jego ramię objęte już pośmiertnym zeszywnieniem.

Dziewiętnastolatek powiedział, że odłączyli się od grupy we trzech. Przewodnik polecił im się rozproszyć, ukryć w zaroślach przy drodze i poczekać na ciężarówkę. Chyba odeszli za daleko, bo jakiś czas później usłyszeli samochód, który zatrzymał się i odjechał, a potem już nikogo nie mogli znaleźć. Pozostawieni na skraju drogi, przeszli kilka kilometrów w sierpniowym skwarze, aż wreszcie ich wuj położył się i już nie wstał. Chłopcy czekali przy drodze, żeby zatrzymać któryś z rzadko przejeżdżających samochodów, ale żaden z kierowców nie stanął. Dlatego wynieśli kamienie na drogę. Żeby któryś kierowca zatrzymał wreszcie samochód.

Zapytali mnie, co by się stało ze zmarłym, gdyby zanieśli ciało do szpitala. Powiedziałem, że to wykluczone, muszą zostać z nami, zostaną skierowani do deportacji, zwłoki przekazemy policji plemiennej. Zapytali, czy ciało wuja może wrócić z nimi do Meksyku, czy mogą je zawieźć z powrotem do swojej wsi. Powiedziałem, że to niemożliwe, bo zwłoki w pierwszej kolejności zostaną dostarczone koronerowi, który spróbuje ustalić przyczynę śmierci. Powiedziałem chłopcom, że zostaną przewiezieni do centrali sektora, gdzie spotkają się z meksykańskim konsulem i to konsul załatwi sprawy związane z transportem zwłok do Meksyku. Gdy mówiłem, bratanek mężczyzny nie podniósł wzroku. Może konsul przekaże wam jakieś dokumenty, podsunąłem, które będziecie mogli zawieźć rodzinie.

Chłopcy nie chcieli pozostawić zwłok wuja w Stanach, a ja podczas objaśniania procedur sam zwątpiłem – opierając się na skromnym doświadczeniu swojej dotychczasowej pracy na granicy – czy faktycznie zobaczą się z konsulem, czy konsulat zajmie się transportem zwłok do Meksyku, czy dostaną choćby świstek, który pomoże im wyjaśnić rodzinie zmarłego, co mu się przytrafiło w podróży na północ. W trakcie naszej rozmowy podszedł Hart i polecił chłopcom zdjąć paski i wywlec sznurówki, oddać zegarki, łańcuszki i inną biżuterię, wyciągnąć z kieszeni zapalniczki, długopisy, noże i inne ostre przedmioty. Spojrzałem na niego. Transport już jedzie, powiedział.

Po chłopców przyjechał pogranicznik jeszcze młodszy niż Hart albo ja. Przywiózł aparat do obfotografowania zwłok. Gdy robił zdjęcia, zauważyłem, że bratanek zmarłego obserwuje go jak urzeczony. Wyjaśniłem chłopcu, że zdjęcia są wymagane przez policję i niezbędne do raportu, który trzeba będzie złożyć na posterunku. Pokiwał głową, jakby nic nie słyszał i nic nie pojmował, a tylko wiedział, że tego się od niego oczekuje.

Zanim chłopców zapakowano do wozu transportowego, podszedłem do nich i powiedziałem, że przykro mi z powodu ich straty. To trudne, powiedziałem i dodałem, że gdyby jeszcze kiedykolwiek zdecydowali się podjąć próbę przekroczenia granicy, niech nie robią tego latem. Latem jest za gorąco, wędrówka w takim skwarze to realne zagrożenie życia. Uprzedziłem, żeby nie łykali tabletek rozdawanych przez przemytników, bo to prosta droga do odwodnienia. Wyjaśniłem, że tu umiera wielu ludzi, a już latem nie ma dnia, żeby ktoś nie umarł; umierają co roku, a wielu jest takich, których znajdujemy na granicy życia i śmierci. Chłopcy podziękowali, jak mi się wydawało, po czym zostali umieszczeni w ciężarówce i odwiezieni.

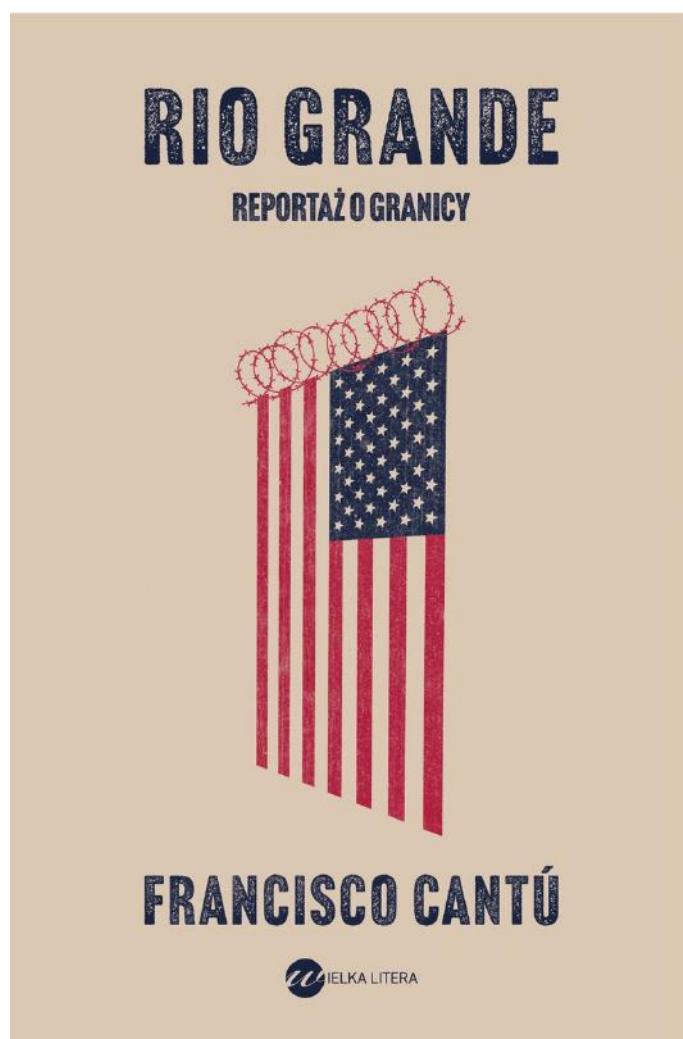
Gdy odchodziłem od zwłok, słońce zaczynało już zachodzić, oblewając ciepłym światłem burzowe chmury gromadzące się na południu. Jechałem burzy na spotkanie, niebo i pustynia ciemniały w zapadającym zmierzchu i nadciągającym deszczu. Gdy w szybę uderzyły pierwsze

krople, usłyszałem wiadomość radiową przekazaną przez operatora Hartowi, który został przy zwłokach. Policja plemienna nie miała akurat żadnego wolnego funkcjonariusza i Hart musiał poczekać ze zmarłym trochę dłużej.

Po paru godzinach, pod koniec zmiany, spotkałem Harta na posterunku. Zapytałem, co się stało z ciałem. Powiedział, że jakiś czas później zerwała się burza i kazali mu po prostu zostawić ciało na pustyni, bo policja plemienna dopiero nazajutrz wyśle funkcjonariusza, który mógłby się tym zająć. Wszystko w porządku, powiedział, mają współrzędne. Zapytałem, czy nie czuł się jakoś dziwnie, czekając w ciemnościach przy zwłokach. Właściwie nie, odparł. Przynajmniej nie zaczęły zajeżdzać trupem.

Postaliśmy parę minut, pogadaliśmy o burzy i ludzkich zwłokach leżących w deszczu na pustyni, o zwierzętach podchodzących nocą, o wilgoci i śmiercionośnym skwarze o poranku. Pogadaliśmy i poszliśmy do domu.

Przeczytaj [więcej](#) o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl